

Powrót

Wiele lat później, Małgorzata stojąc na peronie, miała przypomnieć sobie ten rzeński ranek, kiedy ojciec zabrał ją po raz pierwszy na giełdę. Młodocin był wtedy niewielką wioską położoną pod Radomiem – kilkadziesiąt domów z dachami pokrytymi eternitem. W pobliżu zabudowań rozciągały się łąki i pola zalewane systematycznie przez Garlicę, która ostatecznie została ujarzmiona systemem stawów. Świat wydawał się tak młody i tajemniczy, bo rzeczy miały dopiero wyłonić z niebytu swoje kształty i zdobyć nazwy.

Wyprawa na targ rozpoczynała się w środku nocy. Cały dom zrywał się na nogi o trzeciej nad ranem, żeby przed piątą dotrzeć na miejsce. Krzątania przed wyjazdem kojarzyła się jej zawsze z „Cwałem Walkirii” Wagnera. Na krajowej siódemce nie było o tej porze korków, więc maluch ojca, niczym statek Enterprise, rozpoczynał kolejną misję. Jechali do świata, w którym karty rozdawała Alexix, a pieniądze liczył każdy. Tym rajem rządziły odwieczne prawa podaży i popytu.

Co tydzień, w sobotę o świcie, do Radomia zjeżdżali się handlarze, krawcy i Cyganie. Rozbijali swoje namioty, wywieszali na specjalnych wieszakach kolekcje skórzanych kurtek oraz odzieży. Między tymi stoiskami ustawiali swoje samochody właściciele minigastronomii. Cieszyła się ona niezwykłą popularnością ze względu na zapiekanki i hot dogi, które nigdzie nie smakowały tak wybornie. Giełda zapełniała się ludzką zbieraniną złożoną z drobnych przekupniów, amatorów konfekcji skórzanej, a także nieuczciwych i wyspecjalizowanych w swoim fachu złodziei. Dawali oni imponujący pokaz zręczności, wynosząc pośród targowego zgiełku przekupniów ramoneski lub najmodniejsze fasony męskich kurtek. Dlatego stoisk pilnowały całe rodziny, a zwłaszcza dzieci niemające tyle siły, by nosić towar w ręku i zachwalać go oglądającym. Potrafiły za to głośno krzyknąć, kiedy ktoś odchodził, nie płacąc za zakup. To miejsce było żywą tkanką, organizmem dostarczającym sobie informacji o każdej nieprawidłowości i zagrożeniu. Kiedy na jednym stoisku pojawiał się złodziej, pozostałe wiedziały, że mają zwiększyć czujność. Targowisko tętniło życiem oraz gwarem. Dawало przyspieszony kurs marketingu, cokolwiek to wtedy znaczyło, i korzystania z okazji. W rytmach przebojów disco polo roznoszących się po placu dobijano targu.

– *Straciłam cnotę, bo co? Bo sama tego chciałam* – słowa piosenki wdzierały się do uszu z głośników wystawionych przez wąsatego, łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, który

podkreślał swoją indywidualność mysim kucykiem próbującym odwrócić uwagę od prześwitów. Wąsacz w ortalionowych dresach wyróżniał się z tłumu, przypominał kolorowego ptaka, a pirackie kasety, którymi handlował, zawsze znajdowały nabywców.

Do stołów ojca podszedł znajomy odbiorca. Wyglądał na 40 lat i jego postura wskazywała, że mógłby zostać zapaśnikiem wrestlingu. Był ubrany w dzinsowe spodnie, adidas i luźną kraciatą koszulę. Na palcach nosił złote sygnety, a na ręce ordynarny pozłacany zegarek. Wiecznie skoncentrowany na szukaniu świetnej okazji, upodabniał się do hieny, która gdy znalazła padlinę, nie zamierzała oddać swojej zdobyczy. Dla niego liczyła się wyłącznie kasa.

- Ile chcesz za ten fason? - mężczyźni zawsze zwracali się do siebie na ty, chociaż nie znali swoich imion.
- 5 milionów.
- Drogo. Ile opuścisz?
- To prawdziwa skóra. Cyganie noszą tam skają za sto tysięcy. Możesz kupić u nich.
- Skai nie chcę. Kupię tutaj, ale musisz mi trochę opuścić, zawsze u ciebie kupuję.
- Dobrze, opuszczę na 4 miliony osiemset tysięcy, bierz ją – rozmowę zazwyczaj kończyła wymiana towarów na gotówkę.
- *Majteczki w kropeczki, oho, ho, ho* – rozpoczynała się kolejna solówka wschodzącej gwiazdy estrady, która w kilku wywiadach stwierdziła, że ma słuch absolutny. Cóż wobec takiej deklaracji mógłby powiedzieć głuchy Bethoveen? Nikt w tym świecie nie słuchał przecież sonetów, symfonii czy kwartetów skrzypcowych. Muzyka bawiła, podrywała do tańca i uświadamiała. Dawała instrukcję rozpinania bielizny czy mydlenia ciała. Oglądano co najwyżej opery mydlane albo „Doktor Quinn”.

Alexis była żoną właściciela garbarni. W prowizorycznym biurze przylegającym do budynku gospodarczego, gdzie mieścił się zakład, całymi godzinami po odbiór towaru czekali klienci jej męża, umilający sobie czas przy kieliszku czystej lub wyborowej. Nie wyglądali nigdy na znudzonych, zniecierpliwionych czy zawiedzionych, chociaż wyczuwali nieprzyjemny fetor pochodzący z produkcji. Wiedzieli, że swoje wyczekać muszą, bo takie są uroki ich profesji, dlatego plotkowali o wszystkim, zaciągając się radomskimi i komentując nowe garsonki „szefowej”. Kupować je miała na Struga, czyli tam, gdzie ubierały się największe gwiazdy telewizji Dami. Razem z mężem doglądała biznesu, zwłaszcza wydawania towaru. Oboje mieli po około 50 lat, byli zadbani. Ona uzbrojona w cięty język oraz szponiaste, czerwone paznokcie, on pod porządnie wyprasowaną koszulę i garniturowymi spodniami nosił pancerz spokoju.

- Jak nie będziesz ich pilnował, to wszystko rozkradną! - pouczała poirytowana.
- Daj spokój. Widzisz, że płacą, a robotnicy nie mają okazji, żeby coś wynieść – odpowiadał.

- Wszystko do czasu, Wiktor, wszystko do czasu. Pańskie oko konia tuczy! - uparcie forsowała swoje argumenty.
- Z ludźmi trzeba umieć żyć. To oni dają nam zarobić – z nadludzkim wysiłkiem starał się zachować spokój.
- Dobrze, ale jak tylko spuścisz ich z oka, to nigdy niczego się nie dorobisz, a to nasza jedyna okazja, żeby w życiu do czegoś dojść – odpowiadała mu poirytowana i wracała do biura, w którym podliczała codzienny utarg. Każdej niedzieli, w barwnej garsonce, z mocno natapirowaną fryzurą, rozpoczynała paradę przed ołtarzem, odcinając się od szarości płaszczy i garniturów sąsiadów. Nominał banknotu, który trafiał na tacę, określał jej duchowość i uspokajał metafizyczne rozterki. Pozwalał się wybić ponad przeciętność parafii i zasłużyć na życie wieczne.

Od kolejnych dostaw surowca z garbarni zależało, czy miejscowi przedsiębiorcy nie zostaną wyparci z rynku przez konkurencję, więc codziennie czekali w kolejce po odbiór surowca.

Nigdy nie wracali z pustymi rękami. Potem jechali do domów i zajmowali się krojeniem materiału, z którego krawcowe szyły kurtki.

Ówcześni biznesmeni, prawdziwi królowie życia, lubili wystawne życie. Uważali, że jeśli mają pieniądze, to muszą je wydawać. W świecie, w którym z dnia na dzień pojawiła się inflacja, a wielkie pożyczki spłacało się kurzymi jajami, złotówka nie miała realnej wartości. Nie gromadzili więc oszczędności. Ulegli też złudzeniu, że rozpoczęła się nowa epoka, w której wille i drogie aute widziane w „Dynastii” są na wyciągnięcie ręki. Ogarnęło ich prawdziwe szaleństwo. Niektórzy wznosili przybudówki przy domach, by przeznaczyć je na baseny, a inni kopali na łąkach sadzawki, które w wakacje przyciągały amatorów pływania. Byli też tacy, którzy trwonili zarobione pieniądze, prowadząc życie ponad stan. Rozpoczęło się ostatnie beztróskie lato. Świat powoli dojrzewał.

Skończyły się upały, a wraz z nimi nadeszły trudne czasy. Zatopieni w kłębach dymu papierosów, pochyleni nad kuflami z grubego szkła, bywalcy – młodeckiej pijalni piwa, Antek Mazur i Felek Kowalski, mieli jasne stanowisko w kwestii rządów Balcerowicza i złorzeczyli politykom. Obydwaj trafili w ostatnich miesiącach na zasiłek, bo stracili pracę w kółku rolniczym w Kowali. Utrzymywali się z kuroniówki, a dłużące się dni spędzali w sklepach i pijalni, które spełniały funkcję instytucji charytatywnych i wydawały zakupy na kredyt. W pomieszczeniu słychać było dźwięki przeboju Candy Dufler „Lily was here”.

- Wszystko rozkradną! Za bezcen wyprzedali nasze fabryki. A teraz wysyłają ludzi na bezrobocie! Złodzieje! - wykrzykiwali przy okazji kolejnych kolejek piwa.
- Balcerowicz musi odejść! Wysłać go na zasiłek! A nie za nasze będą sobie kabzę nabijać! - komentowali.

- A niech utrzyma rodzinę za ten zasiłek, to mu się odechce reform. Ludziom pracę zabrali, a sami żyją po królewsku – wznosili pijackie skargi.
- Tyle zakładów zniszczyli, za bezcen sprzedali... Ile tych supermarketów teraz powstaje, ale podatki każą płacić nam, bo obcy kapitał jest pod ochroną! - kończyli.

Nastroje się pogarszały, na giełdzie pojawiała się coraz mniej sprzedających, zakłady pracy ogłaszały masowe zwolnienia. Reformy rządu, które miały obniżyć inflację, doprowadziły do zwiększenia bezrobocia. W Radomiu osiągnęło ono poziom 20%, a w Szydłowcu było dwukrotnie większe. Brakowało miejsc pracy. Zwiększyła się przestępczość.

Pamiętała, że na Korei i wzdłuż ulicy Wernera widywała wtedy się tłumy żebraków uprawiających swoje rzemiosło według odwiecznego schematu. Kobiety i mężczyźni klęczeli ze spuszczonej głowami, trzymali w rękach kubki, czekając na datki. Przy okazji eksponowali zdeformowane albo okaleczone kończyny. Niektórzy mieli przy sobie małe dzieci. Siedzieli tak na chodniku z kartkami informującymi o wykazie nieszczęść, jakimi zwstydziliby samego Hioba. Nikt nie znał ich tożsamości. Najpewniej padli ofiarą procederu handlu ludźmi, stając się współczesnymi niewolnikami. Przechodnie rzucali im pieniądze, bo nie pozostawali obojętni wobec biedy gorszej niż ta, której sami doświadczali. Świat pokazał wykrzywione oblicze tytana pożerającego własne dzieci.

Młodzi wyjeżdżali z miasta, szukając swojego miejsca. Wyjechała i ona. Padał mroźny deszcz, lodowaty i rzęsisty. Małgorzata wsiadła do pociągu. Wracała do domu.